



Mirosław Derecki

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (15) KAJ

Kazimierz Andrzej Jaworski mieszkał z dala od centrum Lublina, w obrębie starej robotniczej dzielnicy, przez którą rano niosło się melodyjne buczenie wysłużonych syren z dawnych fabryk Moritza i Wolskiego. Piętrowy domek przy ulicy Bronowickiej 14 stał (i stoi jeszcze) naprzeciwko cienistego, zapuszczonego parku; gdzieś na tyłach posesji sączyła swoje błotniste wody Czerniejówka, uchodząca do przepływającej nie opodal Bystrzycy. W letnie wieczory, gdy ucichły miejskie autobusy i trolejbusy, można było tutaj usłyszeć stłumione odległością bicie zegara na Bramie Krakowskiej.

Na początku lat sześćdziesiątych KAJ bywał już w „Kamenie” stosunkowo rzadko. Najczęściej widywałem go właśnie w domu na Bronowickiej, zanosząc listy przychodzące na jego nazwisko do redakcji, albo odbierając prowadzone systematycznie przez pisarza od wielu lat „Noty”.

Z bocznej uliczki wchodziło się przez skrzypiącą furtkę, na położone na tyłach domu podwórko, z sieni strome drewniane schodki prowadziły na piętro. Dwa zaciszne, położone w amfiladzie pokoje mieszkania KAJ-a zapchane były pod sam sufit książkami. W pierwszym pokoju taras, na prawo od drzwi z korytarzyka, stało staroświeckie biurko, należące kiedyś do jego ojca, znanego chełmskiego lekarza. Przy tym biurku Kazimierz Andrzej Jaworski napisał chyba większość swoich wierszy i to na jego blacie rodziły się od 1933 roku aż po wczesne lata pięćdziesiąte - kolejne numery „Kameny”.

KAJ był już na emeryturze. Chorował na serce. Długie letnie miesiące spędzał w Nałęczowie, gdzie odpoczywał i pisał wspomnienia. Chodził lekko przygarbiony; zapamiętałem na zawsze srebrzystosiwą czuprynę z równym przedziałkiem, ciemny garnitur oraz nieodłączną cygarniczkę z tłącą się w niej połówką papierosa. Przede wszystkim zaś zapamiętałem zyczliwość, z jaką KAJ odnosił się do młodych adeptów literatury. Nie wiem, czy łatwo się było z KAJ-em zaprzyjaźniać; w każdym razie nietrudno było zyskać jego sympatię. Nie znosił za to, nawet wśród najbardziej przez niego hołubionych młodych talentów, chamstwa i przejawów braku kultury. Wtedy w łagodnego, zyczliwego światu starego poetę wstępował lew. Pamiętam, jaką reprimendę dał dwóm początkującym lubelskim wieszczom, kiedy dowiedział się, że rozmazali „dla kawału” nie wyschniętą jeszcze

farbę na faszystowskich obrazach Włodzimierza Borowskiego eksponowanych w sali lubelskiego BWA. Za karę nie wpuszczał przez pół roku ich utworów na łamy „Kameny”.

Kiedy go poznałem, był już spowity w literacką legendę; jego dorobek pisarski i działalność edytorska, wieloletni trud włożony w redagowanie i wydawanie „Kameny” w ciągu sześciu przedwojennych lat i w pierwszych latach powojennych zostały docenione przez władze i przez kolegów po piórze. Nigdy nie zapomnę aplauzu sali, kiedy podczas odbywającego się w 1964 r. w Lublinie XIV Zjazdu ZLP siwy, ale młodzieńczy KAJ pojawił się na mównicy. Bito brawa nie tylko założycielowi pisma, które obchodziło niedawno właśnie trzydziestolecie istnienia, ale także poecie i wychowawcy poetów.

Przy wszystkich swoich literackich pasjach i miłości do polskiej oraz światowej wielkiej literatury KAJ uwielbiał czytać... „kryminały”. Ta pasja tkwiła w nim już od wczesnej młodości; w jego bibliotece stało sporo wydawanych jeszcze przed I wojną światową, w języku rosyjskim, książek Conan Doyle'a lub jego mniej albo bardziej udanych naśladowców. W chwilach dobrego humoru KAJ recytował z lubością zapamiętany jeszcze z czasów dzieciństwa fragment: „oślepiające oczy parowozu coraz bardziej zbliżały się do nieruchomych, ofiar. Sherlock Holmes z błyskawiczną szybkością wyciągnął rewolwer, huknęły dwa strzały, światła lokomotywy zgasły, zgrzytnęły hamulce i życie dwojga ludzi zostało ocalone”. - Czy można wymyśleć piękniejsze zdania! - cieszył się doskonały tłumacz Błoka i Jesienina... Bardzo lubił twórczość Georges'a Simenona. I kiedy w lubelskich księgarniach pojawiło się dwudziestoparatomowe francuskie wydanie przygód komisarza Maigret, założyliśmy z KAJ-em i Marią Bechczyc-Rudnicką coś w rodzaju spółdzielni czytelniczej: każdy z udziałowców kupił po siedem czy osiem tomów z serii, a potem wymienialiśmy je między sobą. Gdy dzisiaj spoglądam na półkę mojej biblioteki i tytuły: „Les vacances de Maigret”, „Maigret se defend”, „Un échec de Maigret” czy „Maigret et le fantôme”, wyłaniają mi się z pamięci spotkania z KAJ-em na piątku domu przy ulicy Bronowickiej i jego niespieszne, przerywane długimi chwilami zapatrzeń w zieleń buchającą za oknami, wynurzenia na temat prostoty prozy Simenona, literackich walorach autora i umiejętności określenia przez niego kilkoma pociągnięciami pióra nastroju i klimatu paryskich ulic lub prowincjonalnych miasteczek.

KAJ nigdy nie ciążył ku gwarnemu życiu stolicy. Stał na uboczu warszawskich koterii i układów literackich. Był człowiekiem prowincji - w najlepszym rozumieniu tego określenia. Tutaj, w Chełmie, wydał w 1924 r. swój pierwszy zbiór wierszy - „Czerwonej i białej kochance”. Do prowincjonalnego Chełma przychodziły przed półwieczem wiersze młodych poetów z całej Polski z prośbą o druk na łamach „Kameny”. I stąd też gimnazjalny nauczyciel języka polskiego i poeta wysyłał swoje wiersze, eseje, tłumaczenia i artykuły, które ukazywały się w najpoważniejszych polskich czasopismach literackich.

Rodzina Kazimierza Andrzeja Jaworskiego była od dziesiątków lat związana z Zamojszczyzną i Chełmszczyzną, stanowiła przykład inteligencji polskiej głęboko wrosniętej w region. Jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, przybył do Królestwa z rodzinnej Galicji pradziad KAJ-a, Jan Jaworski, obejmując stanowisko bibliotekarza Ordynacji Zamojskiej. Jego syn, Wincenty, zarządzał kluczem majątków Ordynacji, tzw. „kluczem strzeleckim”, a wnuk, Edward Jaworski, ukończył w Warszawie studia medyczne i on był właśnie ojcem poety, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Gałąź rodziny pozostała pod zaborem austriackim poszła w kierunku kariery politycznej: stryjeczny brat dziadka KAJ-a, Apolinary Jaworski, był przez kilka lat w austriackim parlamencie prezesem Koła Polskiego, a nawet przez jakiś okres piastował stanowisko namiestnika Galicji.

Talenty artystyczne odziedziczył KAJ najprawdopodobniej po matce, uzdolnionej pianistce i dobrze zapowiadającej się śpiewaczce, która po wyjściu za mąż za młodego lekarza z Zamojszczyzny wyjechała z rodzinnej Warszawy i przymieszkała prawie całe późniejsze życie w Chełmie. Kazimierz Andrzej Jaworski urodził się 28 listopada 1897 roku w Siedliszczu, osadzie położonej w pół drogi między Piaskami a Chełmem, gdzie jego ojciec prowadził praktykę lekarską. Ale już wkrótce rodzice przenieśli się do Chełma.

W odległym zaledwie piętnaście kilometrów od Chełma cichym i spokojnym Sawinie posiadał aptekę oraz dom z ogrodem magister farmacji, Stefan Iwanowski, mąż ciotki KAJ-a (siostry Edwarda). Przez kilkadziesiąt lat życia całej rodziny Jaworskich ogniskowało się właśnie w tych dwóch miejscowościach. I jeszcze pod koniec II wojny światowej dobiegający pięćdziesiątki założyciel „Kameny” miał w przyjaznej przystani sawińskiego domostwa leczyć ciało i duszę po pobycie w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. To tam właśnie, u wuja Stefana Iwanowskiego, napisał pierwsze strony „Serc za drutem” - wspomnień z obozu. „Serc za drutem” dały początek wspomnieniowemu czteroksięgowi, w którego układ weszły jeszcze, pisane w latach sześćdziesiątych - „W kręgu Kameny”, „Wywoływania cieni” i „Koniec seansu”.

Z tych czterech książek KAJ-a najbardziej lubię „Wywoływania cieni”. Może dlatego, że przeczytałem ją dopiero w wiele lat po śmierci pisarza, jako człowiek dojrzały i sam już wchodzący w „smugę cienia”. I dlatego również, że dzięki niej odkryłem całkiem nowego KAJ-a, że w miarę lektury musiałem zmieniać lub rewidować wiele poglądów o starszym, siwym panu, który wydawał mi się dotąd osobą dobrze znajomą. Jak barwnie potrafił pisać o swoim dzieciństwie i latach młodości! O okresie I wojny światowej, którą spędził wraz z matką jako „bieżeniec”, najpierw - kończąc gimnazjum w dalekich, zagubionych wśród pszenicznych pól Ukrainy, powiatowych Sumach, a potem - studiując przez dwa lata medycynę w Charkowie. Wędrowałem razem z nim poprzez sale Teatru Anatomicznego, słuchałem wykładów z fizjologii i farmakologii, pochylałem się nad podręcznikiem anatomii

prof. Tonkowa. Tego samego Tonkowa, z którego w czterdzieści lat później korzystałem - już bez żadnej przenośni - jako student Akademii Medycznej w Lublinie: chociaż bardziej nowoczesna i precyzyjna była książka prof. Adama Bochenka.

I te młodzieńcze miłości dwudziestoletniego KAJ-a: oczarowanie poezją, pisane przy świecy, pod przepastnym niebem Ukrainy, sonaty, i owa pierwsza, nie spełniona miłość do tajemniczej Koleżanki, a następnie do - równie niezidentyfikowanej - Góralki, i narastająca z latami namiętność do Tatr, przemierzonych z plecakiem i ciupagą, wzdłuż i wszerz...

Po latach, stojąc już nad progiem przepaści, pisał w zwróconym w stronę młodzieńczych lat wierszu, który poświęcił przyjacielowi z charkowskich czasów, Wacławowi Bożentowiczowi: (...)

„Drzew zapach był trujący. Trujące  
były wiersze.  
Pachniała Ukraina. Fermentowała krew.  
Musiały przyjść te pierwsze, musiały  
przyjść najszczęśliwsze  
Wyznania, tak jak później spaść miały  
liście z drzew.  
Wiatr niósł od stepów soczystych ziół  
oddechy.  
Mikroskop zużył oko. Skalpel wpadał  
z rąk.  
Maj naszeptował w ucho najniewinniejsze  
orzechy  
i jedno imię uparcie wydzwaniał serca  
gong.  
Zielona wiosna nagliła. Każdy zielony  
liść.  
Szumiały flagi nad nami. Deszcz złoty  
ze słońca stągwi.  
Zielono było nam kroczyć. Czerwono  
było nam iść  
przez świat zielony, czerwony w krwi  
serc i dumnych chorągwi”.

Kto by się takich strof spodziewał po lekko przygarbionym panu, spacerującym z laseczką w chłodnym cieniu nałęczowskiego parku...?

KAJ kochał Tatry. Spędzał w nich prawie każdy przedwojenny urlop, pisał o nich wiersze. Ostatni przedwojenny, potrójny numer „Kameny”, wydany tuż przed wakacjami 1939 r., był numerem „tatrzańskim”, poświęconym w całości problematyce górskiej. Był zarazem dowodem tego, jakie trudności musieli pokonywać Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski, aby utrzymać przy życiu znany już w całej Polsce poetycki periodyk. Pisał KAJ w „Notach”: „Szósty rok istnienia „Kameny” dobiegł końca. (...) borykaliśmy się ostatnio z wielkimi trudnościami finansowymi, co odbijało się na punktualności w ukazywaniu się pisma. Zeszyt niniejszy wyszedł jako numer potrójny tylko dzięki subwencji Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i częściowo dzięki zasiłkowi Instytutu Lubelskiego. Dalsza egzystencja „Kameny” jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się trzykrotnie do „Funduszu Kultury Narodowej” z prośbą o subwencję na wydanie pisma, ale mimo iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stale spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią. Nie zachwiało to jednak naszego mniemania - opartego zresztą na przychylnych głosach krytyki - że „Kamena” na skromnym odcinku swojej pracy do kultury narodowej pewien fundusz wnosi. Wypadałoby teraz „Kamienie” podzielić los „Drogi” „Pionu”, „Marchołta”, „Okolicy Poetów” i in. pism, dla których w dzisiejszych „kulturalnych” czasach nie znalazło się miejsce. Mimo wszystko jednak nie chcemy ustępować. (...) numer niniejszy zamyka szósty rocznik „Kameny”. Zeszyt pierwszy rocznika siódmego ukaze się w końcu września rb.”

Upłynęło aż sześć lat, zanim ocalały z pożogi wojennej redaktor naczelny i zarazem wydawca mógł napisać, w 1945 r., w pierwszym numerze wznowionego - już w Lublinie - pisma, dalszy ciąg „Not” „PO SZEŚCIU KRWAWYCH LATACH - nie, wiekach! - milczenia wznawiamy „Kamień”. Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale w nową epokę Polski...” A w rok później (w n-rze 1-3 z 1946 r.) stwierdzał z dumą: „(...) Pozostaliśmy wierni dawnemu programowi, który realizujemy w zmienionych, bardziej sprzyjających naszym zamierzeniom warunkach. Za sobą mamy legitymację sześciu lat przedwojennych, nie musimy przystosowywać się, przemaalowywać chorągiewki, podróżować do Canossy, bić się w piersi z racji dawnego antysemityzmu czy inklinacji totalistycznych. „Kamena” pozostała „Kamienią” i kroczy dalej swoją drogą dla wszystkich chętnych gościnnie otwarta, propaguje zbliżenia narodów słowiańskich, wyławia z całą życzliwością młode talenty, nie szkodzi, że może czasem zbyt tolerancyjnie. Przecież niejedyn autor słabych wierszy w przedwojennej „Kamienie” zajmuje dziś niepoślednie miejsce na Parnasie naszej literatury. (...)”

Brzmiała w tych słowach duma, ale także przepojone były one troską. Bo nad „Kamienią” zaczynały się powoli gromadzić chmury. Przyznana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki subwencja okazała się wkrótce niewystarczająca, pieniądze przychodziły

nieregularnie, a to nie mogło się nie odbijać na terminowym ukazywaniu się miesięcznika. Coraz częściej przyjmował on postać podwójnych, albo i potrójnych, „zbiorowych” numerów, nolens volens przechodząc nieoficjalnie na status kwartalnika poetyckiego. Prawie całą robotę redakcyjną, wydawniczą i administracyjną załatwiał KAJ wraz ze swą przyszłą żoną, Teklą, bo Zenon Waśniewski już nie żył, zmarł w obozie koncentracyjnym. A powojenni, młodzi współautorzy - Jacek Bocheński i Jerzy Pleśniarowicz, a następnie Anna Kamieńska, rozpiechli się szybko po innych, nowo powstałych czasopismach literackich i kulturalnych.

W hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oranienburgu KAJ zetknął się z więzionymi tam studentami czeskimi, dzięki nim pogłębił znajomość tego języka. Teraz dużo tłumaczył z czeskiego i słowackiego, co zresztą zaowocowało w 1949 r. dwiema nagrodami: polską i czechosłowacką za przekłady poezji czeskiej. Przygotowywał, pokonując piętrzące się przeszkody, numer specjalny, 83-84, poświęcony w całości twórczości Józefa Czechowicza. Jedyny w ciągu wielu powojennych lat zbiór wierszy tego wybitnego, wywodzącego się a Lublina, poety. Ten właśnie, wydany w 1949 r. „czechowiczowski” numer, był ostatnim, pięknie brzmiącym akordem „Kameny” Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Niestety, taka jest prawda: nikogo wtedy „Kamena” nie obchodziła - ani miejscowych władz, ani władz ministerialnych ani... tych poetów, którzy kiedyś ślali do niej debiutanckie wiersze, a teraz - niejednokrotnie usadowieni na wysokich stanowiskach w kulturze - starali się jakby zapomnieć o dawnych latach. W jednym z ostatnich numerów KAJ wołał: „Często się słyszy utyskiwania, że tygodniki literackie traktują poezję po macoszemu, że zbyt mało poświęcają jej miejsca (...) myśmy mieli przed wojną kilka pism poetyckich wychodzących jednocześnie, dlaczego dziś nie może utrzymać się jedno? I utrzymałoby się z pewnością, oparte na innych podstawach finansowych. Jakich? Trudno to powiedzieć. Jeden człowiek nie poradzi. (...) mogłoby być ambicją którejś ze spółdzielni wydawniczych - „Czytelnika”, „Książki” czy „Wiedzy”, aby tego rodzaju kwartalnik, a może i miesięcznik wydawać (...) Stworzyć prawdziwy, nie fikcyjny zespół „Kameny”, z redaktorem naczelnym - poetą. Niżej podpisany, nie rości sobie bynajmniej pretensji do tego, by objąć to stanowisko, zadowoliliby się chętnie miejscem w zespole i kierownictwem działu poezji słowiańskiej. Chodzi mu bowiem „tylko o jedno: uratować „Kamenę”.”

Tak wołał KAJ. Ale tego wołania nikt nie słuchał, ani słuchać nie chciał.

Dokonał jeszcze jednej próby ratunku: po przeniesieniu się z Chełma do Lublina zaczął pracować w „Sztandarze Ludu”, tu też od 5 listopada 1949 r. wychodził w soboty redagowany przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego dodatek: „Tydzień Literacki”. KAJ opatrzył go

podtytułem: Dawniej - „Kamena”. Chodziło o zachowanie tradycji pisma. Ale już po czterech numerach „Tygodnika Literackiego” podtytuł ów zniknął.

„Kamena” odrodziła się w trzy lata później, dzięki inicjatywie Lubelskiego Oddziału ZLP, któremu prezesowała wówczas Maria Bechczyc-Rudnicka. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało tej odrodzonej „Kamienie” status „kwartalnika społeczno-literackiego”, pisma lubelskich literatów. „Kamena” pozostawała na stałej dotacji Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Miało to być wydawnictwo broszurowe, w twardych okładkach i o formacie A-4.

Numer 1-2 (85-86 ze stycznia- czerwca 1952 r.) miał na okładce wpisane w owal lubelskiego koziołka, wspinającego się na krzak winorośli. Okładkę projektował Franciszek Seifert. Ten jedyny (choć powinny były być jeszcze nr 3 i 4), wydany w drugiej połowie 1952 r. numer „Kamieny”, podpisany był przez kolegium redakcyjne, w którego skład wchodził: Feliks Araszkiwicz, Maria Bechczyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Eugeniusz Gołębiowski i Zygmunt Mikulski, a przewodniczył mu redaktor naczelny - Kazimierz Andrzej Jaworski. Adres redakcji - jak za dawnych czasów: Lublin, ul. Bronowicka 14 m.4. Czyli - mieszkanie KAJ-a. Dopiero potem redakcja usadowiła się w lokalu ZLP przy ulicy Granicznej.

W późniejszym okresie „Kamienę” podpisywali Kazimierz Andrzej Jaworski i Maria Bechczyc-Rudnicka, a w 1956 r. także - Jerzy Mikke, jako trzeci (!) równorzędny redaktor naczelny. Mikke został skierowany w 1955 r. z Warszawy do „Kamieny” jako rodzaj „doradcy” z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki. Widocznie ktoś tam „na górze” wciąż nie dowierzał redaktorom z „przedwojennym stażem” prowadzącym już teraz miesięcznik z perspektywą przejścia na dwutygodnik społeczno-kulturalny (co nastąpiło w 1957 r.). Notabene po Październiku nazwisko Jerzego Mikke znikło ze stopki redakcyjnej. Wrócił do Warszawy, a ja poznałem go dopiero w szereg lat później, już jako radiowca i autora sztuki o Mochnackim.

W 1960 r. kierownictwo redakcji objęła Maria Bechczyc-Rudnicka. KAJ wycofał się ostatecznie ze składu redakcji na początku 1963 r.

Umarł dziesięć lat później, 6 września 1973 r., na serce, w lubelskim szpitalu. Nie danym mu było zakończyć życia, we własnym domu i na własnym łóżku, na prawdziwie ludzki, „prowincjonalny” sposób. Ale za to jego trumnę nieśli poeci. I młodzi dziennikarze, pracownicy pisma, które założył przed wielu laty...

Kiedy myślę o KAJ-u, to jawi mi się on jako poeta i nauczyciel. Jako mieszkaniec spokojnych domów i małych uliczek, wielbiciel cichych wieczorów spaczonych nad książką lub w gronie ludzi czujących literaturę. Jako młodzieniec chłonący wzrokiem niezmierny przestwór stepów i wdychający pełną piersią czysty powiew płynący od gór. Ale przede

wszystkim chyba - jako człowiek wytrwały: jego pasja do „Kameny” była imponująca; z jakim zapalem ją tworzył, z jakich opresji ratował, z jakich gruzów z uporem ją dźwigał!

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 19, s. 3-4.